Charles Fontenay

# Porozumienie

## (Communication)

If, October 1956
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

**P**ierwsza ziemska ekspedycja na Marsa, nie odnalazła żadnych Marsjan. Podobnie zresztą druga. Ponieważ Marsjan pozostało już tak niewielu, te dwa fakty są znacznie mniej zaskakujące niż to, że trzecia wyprawa pod tym względem zakończyła się sukcesem.

Już od wielu lat, zanim jeszcze pojawiły się możliwości lotów kosmicznych, dyskutowano i snuto rozważania teoretyczne na temat tego jak porozumieć się z Marsjanami, jeżeli tacy będą istnieć. Jednak, oczywiście, kiedy przyszło co do czego, nikt nie był na to przygotowany.

Musieli zdać się na tak antyczne rozwiązanie.

Von Frisch, Riley i Smith obserwowali podchodzących kilku Marsjan, i widok ten nie był pozbawiony pewnego dreszczyku niepokoju. Gdyby nie to, że znajdowali się mniej więcej dwadzieścia mil od swojej G-łodzi – pojazdu lądownika planetarnego – pewnie mogliby uciec. Podobnie, gdyby nie to, że mieli jasne i precyzyjne rozkazy, pewnie mogliby najpierw strzelać, a pytania zadawać potem.

— Panie kapitanie, tu mówi Von Frisch — zameldował inżynier do mikrofonu swego hełmu. Kiedy to mówił, brakowało mu nieco tchu w piersiach. — Zbliżają się do nas Marsjanie!

— Jak się zachowują? — natychmiast spytał kapitan Powers, z pokładu G-łodzi.

— Nie zachowują się wrogo, panie kapitanie.

— A więc czekać w gotowości, ale nie podejmować ryzyka. Jak oni wyglądają?

— Są nieco wyżsi od nas, ale tułowia mają zaokrąglone i tylko nieznacznie większe od dziecięcych. Mają naprawdę długie nogi i ręce oraz duże głowy z wielkimi oczami i uszami.

— Czy są inteligentni? Czy są cywilizowani? W jaki sposób oddychają?

— Chwileczkę, panie kapitanie — zaprotestował Von Frisch. — Jest pan trochę za szybki. Oni właśnie do nas przyszli. Nie wiem nawet, czy to co mają na sobie to ich futro, czy też jakiś rodzaj ubrania.

— No dobrze, spróbuj się jakoś z nimi porozumieć, człowieku! — z podnieceniem zawołał kapitan Powers.

Von Frisch zrobił co tylko mógł. Marsjanie okazali się być dosyć przyjaźni i ciekawscy. Von Frisch usiłował się z nimi porozumieć jedyną metodą jaką znał.

Podczas gdy jego towarzysze przyglądali mu się z zainteresowaniem, wyrzucił z głowy nieustanną lawinę pytań od Powersa, pochylił się i narysował na czerwonym pustynnym piasku trójkąt prostokątny. Przy jednej z przyprostokątnych narysował trzy kreski, przy innej cztery.

Potem zrobił krok do tyłu i popatrzył pytająco na Marsjan.

Jeden z Marsjan przykucnął w plątaninie patykowatych rąk i nóg, i długim palcem narysował pięć kresek obok przeciwprostokątnej trójkąta.

— Panie kapitanie, oni znają twierdzenie Pitagorasa! — zawołał Von Frisch.

— Doskonale! A więc bez wątpienia wiedzą coś o astronomii. Proszę kontynuować.

Von Frisch zawahał się przez chwilę, a potem starł trójkąt. Narysował małe kółko, z wychodzącymi z niego promykami, oznaczające Słońce. Narysował wokół niego cztery coraz większe, koncentryczne koła, na okręgu każdego rysując małe kółka oznaczające planety.

Wskazał na trzecią planetę, a następnie na siebie samego i po kolei na swoich towarzyszy. Potem wskazał na czwartą planetę i po kolei na Marsjan. Aby dokończyć dzieła, wskazał na niebo.

— My jesteśmy Ziemianami — powiedział. — Wy jesteście Marsjanami.

Problem polegał na tym, że Ziemianie nie mieli pojęcia, iż przedmioty trzymane przez Marsjan, była to broń, dopóki ci jej nie użyli. Prawdę mówiąc, później także nie mieli o tym pojęcia, ponieważ Ziemianie byli martwi, cała trójka.

Marsjańska wyprawa łowiecka wróciła z pustyni z wieściami o dziwnych stworzeniach, które przybyły, ewidentnie, z innej planety.

— Nie wiemy, czy mieli broń — oznajmił dowódca wyprawy łowieckiej. — Ale chcieli skrzywdzić nasz lud, a więc wszystkich ich zabiliśmy.

— To jest ostateczny środek — stwierdził patriarcha wioski. — W jaki sposób byli dla nas niebezpieczni?

— W głupi sposób ujawnili nam swoje zamiary — odparł dowódca wyprawy łowieckiej. — Poinformowali nas, że planują zabrać nam naszą planetę i odepchnąć nasz lud dalej od słońca, na ogromną planetę Jowisz.

— A więc, słusznie uczyniliście — oświadczył patriarcha, mrugając swoimi wielkimi oczyma.

Biggs i Golden pracowali w pobliżu G-łodzi. Radia w ich hełmach ustawione były na inny kanał, niż ten wykorzystywany przez zespół eksploracyjny, a więc nie słyszeli kapitana Powersa wykrzykującego szaleńczo do mikrofonu, bez odpowiedzi. Właśnie zaszło słońce i Biggs spoglądał na zachód.

— Powinniśmy go teraz widzieć, ale tam nic nie ma — stwierdził Biggs.

— Czego niby tam nie ma? — dopytywał się Golden.

— Merkurego — odparł Biggs, który z dumą uważał się za amatora astronomii. — Myślę, że z Marsa nie da się go zobaczyć bez teleskopu. Jest za blisko Słońca.

Zachichotał.

— Jeśli istnieją jacyś Marsjanie — dodał jeszcze, — to według mnie uważają oni, że żyją na trzeciej planecie. Zabawne, co?

KONIEC